

Pamiętnik squattersa.

Wtorek

Pierwszy dzień na wegańskim squacie po powrocie do Londynu. Przyjeżdżam około drugiej w nocy. Drzwi otwiera mi John, dwudziestosiedmioletnia aktywistka, która, aby zatrzeć społeczne różnice między płciami zdecydowała się zmienić swoje imię na męskie. Zaprasza mnie na górę i proponuje herbatę. Po około pół godzinie pojawia się Krzysztof wraz z kilkorgiem przyjaciół z Massive Squatting Action, nieformalnej organizacji, której głównym celem jest zapewnienie osobom bezdomnym miejsca zamieszkania. Ich pierwszą spektakularną akcją ma być włamanie się do bloku mieszkalnego przeznaczonego do rozbiórki i przekształcenie go w gigantycznego squata. Wkrótce pojawia się reszta lokatorów, przynoszą ze sobą banany i ziemniaki zdobyte na śmietniku nieopodal. Ponieważ wszystkie pokoje są aktualnie zajęte, przypada mi na razie spać na tzw. crash space - łóżku we wnęce korytarzowej zasłanianej zasłonką. Miejsca mało, ale odrobina prywatności jest. Poza tym nietypowe jak na squata wygody: prysznic z ciepłą wodą i obszerny living room. Wsuwamy banany i popijamy herbatą. W pewnym momencie pod stołem przebiega szczur. Ma miejsce ożywiona debata: jak pozbyć się gryzonia. Ktoś proponuje sprowadzić do domu kota – pomysł od razu upada jako zbyt brutalny. Klasyczna pułapka na myszy także nie wchodzi w grę – proszę nie zapominać, że mieszkają tu sami weganie. Pojawia się jeszcze sugestia żeby złapać gryzonia w tzw. humanitarną pułapkę – zwabić go na jedzenie, przykryć kartonem i wynieść do parku. „A gdyby ciebie wrzucono do ciężarówki, przewieziono do innego kraju i wysadzono w szczerym polu?” zapytuje dobrze zbudowany chłopak o imieniu Tal autora pomysłu. To ostatecznie ucina dyskusję. Wygląda na to, że szczur zostanie z nami na stałe. Brat Willa pali jointa za jointem, wszyscy trochę upalamy się oparami. Krzysiek, Sandra i Will biorą się za sprzątanie. O czwartej rano idę spać.

Środa

Nad ranem zimno jak cholera. Schodzę do kuchni na herbatę. Poznają bliżej Tala, Izraelczyka, który przyjechał do Londynu aby zostać profesjonalnym bokserem. Niedługo, gdy pobiorą się z Sandrą (która sama zaproponowała fikcyjne małżeństwo aby pomóc dobrodusznemu pięściarzowi) Tal uzyska unijne obywatelstwo i będzie mógł startować w zawodach. Przyszły bokser właśnie wybiera się na skipping (odzyskiwanie jedzenia z dużych kontenerów na śmieci należących do sklepów, restauracji i marketów), proponuje żeby się przyłączył. Przebieram się i o dziewiątej rano ruszamy. Na początku zahaczamy jeszcze o park, gdzie Tal odbywa poranne rozgrzewki. Na początek podciągi na drążku – Tal robi dwadzieścia, ja ledwie cztery. Po kilku kolejnych ćwiczeniach ruszamy dalej. Na początku śmietnik na tyłach sklepu organicznego. Znajdujemy torbę z pieczywem. W środku bagietki i jakieś ciastka. Pakujemy wszystko do naszych toreb, biorę do ręki ciastko z rodzynkami. Pachnie serem. Tal spogląda na mnie wymownie – musimy je zostawić, weganie to weganie. Wracamy do domu, Tal szykuje szybkie śniadanie: bułki z nadgniętym bananem i ziemniaki z cynamonem – izraelska specjalność.

Czwartek

Rano poznaję Michelle, amerykańkę polskiego pochodzenia, aktualnie studentkę piątego roku ASP. Michelle złamała ostatnio rękę, teraz ma plan skonstruowania specjalnego pistoletu na wodę, który zamontuje na swoim gipsie. Pokazuje mi też swoje nowe buty, które odziedziczyła po zmarłym niedawno chłopaku mieszkającym kiedyś na naszym squacie.

Sobota

Idę wieczorem do teatru. Kiedy wracam, dom wydaje się być pusty. Przez kilka minut dzwonię, ale nikt nie otwiera (nie mam jeszcze swoich kluczy). Idę na spacer. Wracam dwie godziny później – w domu dalej pusto. Zaczyna się robić zimno. Miałem dziś plan położyć się wcześniej spać, ale najwyraźniej tej nocy skazany jestem na imprezowanie. Wracam do centrum i dołączam do znajomych, z którymi rozstałem się wcześniej tego wieczora. Spędzamy trochę czasu w pubie a potem idziemy do domu jednej z dziewczyn. Wracam o szóstej rano. W domu cały czas pustki. Idę do parku wykonać kilka porannych ćwiczeń za przykładem Tala. Około ósmej dzwoni Krzysztof – jest już na squacie. Wracam na śniadanie, biorę prysznic i wychodzę do biblioteki. Na miejscu rozkładam papiery, włączam laptopa i zasypiam.

Poniedziałek

Wracam do domu wieczorem. Kiedy wchodzę do kuchni moim oczom ukazuje się cały stół wypełniony szczerlnie bananami – owoc dzisiejszego skippingu. To nie wszystko – na sofie leży kupka strojów pracowników Tesco wraz z zimowym kombinezonem i dwiema perukami. Wszystko dzięki zaprzyjaźnionym squattersom, którzy dali Krzysztofowi cynk o masowym opróżnianiu magazynów. Przymierzam kombinezon – pasuje jak ulał, anektuję go dla siebie jako swoją nową piżamę. Wspólnie debatujemy jak wykorzystać uniformy. Gotujemy z Talem kilka marchewek na kolację. Siadam do komputera. Ktoś zauważa, że w domu nie ma Alexa i Bonnie. To para, która mieszka na parterze. Okazuje się, iż jest na squacie kilka osób, które chętnie by się ich pozbyły. Pada kilka argumentów przeciwko tej dwójce; po pierwsze: nie robią nic dla domu, po drugie: przynoszą nie wegańskie jedzenie, po trzecie: nie wszystkim pasuje nieprzewidywalna natura Alexa. Krzysztof zauważa, że Alex tak po prostu sobie nie pójdzie, grzeczne prośby nie wystarczą. Ktoś prognozuje, że być może się wprowadzi, ale będzie starał się mścić. Dyskusja staje w martwym punkcie.

Wtorek

Podczas wieczornej kąpieli Sandra odkrywa, że w prysznicu załęgły się dżdżownice. Tal, weganin z krwi i kości, wydobywa większość z nich spod brodzika i wnosi do parku. Całe zajście inspirowane nas do zbadania stanu łazienki. Okazuje się, że deski podtrzymujące brodzik są wilgotne i nadgniłe. Wspólnie konstatujemy, że czas na mały remont. Wstawiamy do łazienki grzejnik elektryczny na całą noc, aby wysuszyć drewnianą konstrukcję a rano idziemy do sklepu po klej i silikon. Ten ostatni kupujemy za zaledwie dwa funty, na półce stoi co prawda droższy odpowiednik, ale sprzedawca zapewnia nas, że tania wersja jest równie dobra. Wracamy do domu i zabieramy się do pracy. Przy pomocy wadliwej piłki do metalu przycinamy plastikowe deski, które Krzysztof znalazł kiedyś na śmietniku, wychodzi nam to zaskakująco sprawnie. Z klejeniem sprawa ma się jednak gorzej, substancja nie okazuje się być tak skuteczna jak obiecywał właściciel sklepu. Nakładanie silikonu też nie wychodzi nam najlepiej, gdyby nasze dokonania ujrzeli Polscy bilderzy z pewnością nie byłiby z nas dumni. W końcu robota jest skończona, zadowoleni idziemy do kuchni zakomunikować, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny prysznic będzie nie do użytku. Wbrew moim oczekiwaniom wiadomość ta spotyka się z lawiną narzekań. Poirytowani idziemy do piwnicy, gdzie Krzysztof wyłącza dopływ wody do prysznic w razie gdyby jednak ktoś nie planował zastosować się do naszego zalecenia.

Przed snem Sandra opowiada mi jeszcze historię swojego przyjazdu do Londynu. Na początku miała zamiar spędzić tu tylko dwutygodniowe wakacje. Tuż przed wyjazdem z Polski okazało się jednak, że oferta zakwaterowania, która zorganizowała sobie wcześniej okazała się nieaktualna. Postanowiła jednak nie poddawać się i zaczęła szukać pomocy przez portal couchsurfing.com. Na stronie tej ogłaszają się osoby z całego świata, które są skłonne przenocować u siebie w domu strudzonych obywateli w potrzebie, za darmo oczywiście. Skontaktowała się z nią ekipa z naszego squata i zaproponowała wolne łóżko. Sandra przyjechała i tak bardzo jej się spodobało, że postanowiła przesunąć swój bilet powrotny na przyszły rok. Na koniec Sandra mówi mi jeszcze jak tuż przed wyjazdem postanowiła bliżej zbadać okolicę, w której przyjdzie jej zamieszkać i odnalazła w czeluściach Internetu stronę, na której znajdował się diagram przedstawiający za pomocą kolorów poziom przestępczości w poszczególnych dzielnicach Londynu. Hackney oznaczone było kolorem jaskrawoczerwonym. Nie pytam już Sandry o legendę diagramu, ta wydaje się być oczywista, opatulony w śpiwór podarowany mi przez Tala i znaleziony niedawno kombinezon Tesco spokojnie zasypiam.

Środa

Przy porannej herbacie ktoś zauważa, że Michelle od kilku dni nie ma w domu. Przypominamy sobie, że ostatni raz kiedy ją widzieliśmy miała na sobie buty zmarłego squattersa...

Wracam do domu około dwudziestej pierwszej. John częstuje mnie jointem i opowiada historię o tym jak kiedyś cudem uniknęła śmierci w zamachu bombowym w Izraelu. Wkrótce, być może pod wpływem rozmaitych oparów, którymi spowity jest cały squat, rozmowa wykonuje nieoczekiwaną woltę i zbacza na temat związków i kwestii monogamii. Okazuje się, że zdeklarowanymi monogamistami na squacie jesteśmy tylko Will i ja. Zaczynam zastanawiać się nad różnicami dzielącymi mnie a moich pozostałych współlokatorów. A przejawiają się one nie tylko w upodobaniach żywieniowych. Jak już napisałem, większość z nich określa siebie mianem „queer”, co oznacza, iż ich orientacja seksualna jest odmienna od heteroseksualnej. Ale to dopiero początek długiej listy, która nas dzieli. John ma męskie imię, chce tym podkreślić, że nie uznaje kulturowego podziału ról męskich i kobiecych. Phil także zmienił ostatnio imię, teraz nazywa się Alexis. Ponadto jego ręce w całości pokryte są tatuażami. Wszyscy opowiadają się za poligamią. Wymieniać można by jeszcze długo. Ale czemu tych różnic dzielących tych ludzi od reszty społeczeństwa jest aż tak wiele? Czy ich inność jest tylko pozą a ich kontestacja modą?

Tym co fundamentalnie odróżnia lokatorów domu przy Dove Row od większości populacji tego kontynentu jest nie kwestia weganizmu, orientacji seksualnej czy ubioru, tylko kwestia myślenia. Weganizm wynika z pewnej świadomości, decyzja aby zaprzestać spożywania mięsa i produktów pochodzenia zwierzęcego jest zazwyczaj przemyślana i wynika najczęściej z niezgody na wykorzystywanie zwierząt. Ale żeby taką decyzję podjąć trzeba ten fakt najpierw zauważyć, trzeba być jednostką trzeźwo myślącą i dostrzegać absurdalność otaczającej nas rzeczywistości. Ci wszyscy ludzie w pewnym momencie swojego życia stwierdzili, że nie ma sensu postępować tak jak ogół tylko dlatego, że ogół tego od nas wymaga. I to był chwila, w której zaczęli szukać własnej ścieżki, niekoniecznie w koleinach kultury czy konwenansu społecznego.

Piątek

Wraca Michelle, cała i zdrowa. Po butach ani śladu...

Sobota

Dziś jest dzień, na który wielu squattersów czekało od dawna. Kilka dni temu pisałem o Massive Squatting Action – ruchu, którego celem jest zapewnienie osobom bezdomnym darmowego miejsca zamieszkania. Pierwszym celem inicjatywy jest przeznaczony do rozbiórki blok przy ulicy Green Lanes w dzielnicy Hackeny. Przygotowania czynione były już od dawna. Tydzień temu, po przeprowadzeniu dogłębnego rekonesansu grupa kilku śmiałków udała się na miejsce i wymieniła główne drzwi prowadzące do budynku. Teraz nadszedł czas na szturm generalny. Zadaniem uczestników akcji jest wejść do środka, przedostać się na wewnętrzny dziedziniec, włamać się do jak największej ilości mieszkań i je zabezpieczyć. Miejsce zbiórki: Finsbury Park, samo południe. Uzbrojeni w zapas marchewek i dobre chęci idziemy z Krzysztofem na pod bramę parku. Niestety w wyniku gigantycznych korków pojawiaemy się za późno. Decydujemy więc udać się bezpośrednio pod rzeczony blok. Po drodze dołącza do nas Will. W trójkę przybywamy na miejsce akcji niemalże jednocześnie z grupką około czterdziestu śmiałków nadchodzących z naprzeciwka. Odbywa się krótkie zebranie, ustalony zostaje podział ról. Lider akcji otwiera drzwi i część osób uzbrojona w łomy i wszelkiego rodzaju narzędzia wchodzi się do środka. Ja z dwudziestką pozostałych zostajemy na zewnątrz – naszym zadaniem będzie dezinformować policję a w razie ich uporu, zatrzymywać ich na tak długo aby umożliwić tym wewnątrz ucieczkę z budynku.

Wkrótce do naszych uszu zaczynają dobiegać odgłosy metalu uderzającego o drewno. Zaczęło się. Co jakiś czas dochodzi do nas dźwięk pękających zawiasów – kolejne drzwi ustępują przed uporem nieugiętych squattersów. Nagle na miejscu akcji pojawia się policja w postaci rutynowego, dwuosobowego patrolu. Squatowanie jest w Londynie rzeczą tak popularną, że niczego nie trzeba wyjaśniać – policjanci doskonale wiedzą, co się tu odbywa. Z naszego tłumu występuje mała, niepozorna dziewczyna – najwyraźniej specjalistka od PR'u i wszelkich kwestii prawnych. Przy akompaniamencie wyłamywanych wewnątrz budynku drzwi zaczyna przekonywać policjantów, że budynek należy do nas (według prawa brytyjskiego, jeśli osoba posiada klucze do drzwi posiadłości to ma prawo w niej mieszkać). Jej siła perswazji jest imponująca – po kilku minutach funkcjonariusze opuszczają miejsce zdarzenia.

Po około godzinie zmasowanej akcji wychodzi do nas jedna z osób i zgłasza zapotrzebowanie na kłódki, skoble i śrubki. Po zaopatrzeniu wyrusza Will. W tym czasie Krzysztof wraz z grupą kilka osób idzie na obchód sąsiadującego budynku: ich zadaniem jest zapoznać lokatorów z naszymi planami względem budynku. O dziwo, większość z nich okazuje się być nam absolutnie przychylna – wyrażają zrozumienie dla naszych potrzeb i zapewniają o swoim poparciu.

Nadchodzi czas na fazę trzecią: wymianę drzwi i zamków. Razem z Willem i kilkoma innymi osobami wchodzimy do środka. Po przeskoczeniu prowizorycznego muru z desek, który zamontowała tu ekipa rozbiórkowa, aby zniechęcić squattersów do podejmowania działań takich jak nasze, lądujemy na głównym dziedzińcu budynku. Widok, który rozpościera się przed naszymi oczami przechodzi nasze najśmielsze oczekiwania. Grupa około trzydziestu osób majstruje jednocześnie przy drzwiach dziewięciu otwartych mieszkań. Dziedziniec pełen jest wszelkiego rodzaju narzędzi: łomów, śrubokrętów, pił, wiertarek, młotków i gwoździ. Przed niektórymi mieszkaniami zalegają już kupki

gruzu, efekt czyszczenia niektórych wnętrz. Razem z Willem dołączamy do ekipy, która zdaje się mieć jeszcze najwięcej do zrobienia. Podczas gdy chłopaki mocują się z drzwiami, my przy pomocy cegłówki zabijamy okno do toalety na parterze. Następnie zaczynamy usuwać gruz z wnętrza mieszkania. Skąd gruz? Kiedy rada miasta wydaje zarządzenie o rozbiórze domu, ekipa budowlana muruje w mieszkaniach większość okien a na pozostałe zakłada tzw. Sytex. Materiał który nie zostaje wykorzystany pozostawiany jest w środku. Czasem ekipy takie wykonują jeszcze jedną czynność, która czyni mieszkanie absolutnie niezdatnym do użytku, zalewają cementem wszystkie toalety, zlewy i wanny. Bogu dzięki w tym wypadku nie wpadli na podobny pomysł. Wszystkie mieszkania mają ten sam układ: na dole salon kuchnia i łazienka a na górze trzy pokoje i druga łazienka. Tak więc w każdym mieszkaniu będzie mogło w warunkach względnego squatterskiego luksusu mieszkać po cztery osoby. Pomnożone przez dziewięć mieszkań daje to dach nad głową trzydziestu sześciu osobom – na początek całkiem nieźle. Nie odłączono wody – to duże ułatwienie na początek. Prądu nie ma, ale jedno dziewczę, najwyraźniej całkiem nieźle zorientowane w arkanach elektryczności, mówi nam, że jest to tylko kwestia dwóch- trzech dni. Niektórzy squattersi przynoszą śpiwory i karimaty – kilka osób musi zostać na noc, aby pilnować posesji. Około godziny siedemnastej opuszczamy miejsce akcji.

Wtorek

W domu szpital – wszyscy się pochorowali. Alexis kaszle tak bardzo, że chyba zaraz wypluje płuca, Tal spędza cały dzień na łóżku w salonie; ten świetnie zbudowany bokser, który w Izraelu nie chorował prawie w ogóle, nie okazuje się być odporny na londyńskie wirusy grypy. Krzysztof i Michelle też regularnie pokasłują, a ja od bólu gardła prawie straciłem głos. Tylko Sandra skutecznie opiera się zakusom złowrogich wirusów. Być może uodporniła się po przejściu tygodniowej grypy, na którą zapadła niedługo po swoim przyjeździe do Londynu.

Piątek

Budzi nas Sandra swoim krzykiem. W łazience są znowu dżdżownice. Oznacza to, że nie wychodzą spod brodzika, ale przywędrowują do nas z kanalizacji. Z tym niestety chyba nie da się już nic zrobić.